Ner 2. Kraków, dnia 15go Stycznia 1871. Rok III.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Warunki przedpłaty na ostatniéj stronnicy.

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — LISTY LUB PRZEKAZY POCZTOWE należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina" Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

ŻYCZLIWE RADY KAZIMIRZA GÓRALCZYKA.

(Dokończenie).

Po piąte. Z bydełkiem obchodźcie się dobrze, bo najprzód jest to wielki grzéch przed Bogiem dręczyć użyteczne stworzenia, które wam dał do pomocy, a powtóre, czyż się godzi za to, że na was pracują, mordować, walić kijem po łbie, albo żgać pod bok źrébne klacze, cielne krowy, że źle i byle jako przez was żywione, nie mają siły pociągnąć, albo dać tyle mléka, ilebyście chcieli?.. Szanujcie téż naczynia rolnicze, pługi, brony, boć to wasz dobytek!

Po szóste. Nie tyrajcie lasów, nie rąbcie drzewek, ani gałęzi nie łamcie; nie obdziérajcie kory z drzew starych, boć tych lasów jak na lékarstwo u nas; każdy je niszczy i tępi dla lichego grosza, a wkrótce gdy drzewa zabraknie, to dopiéro będzie biéda! Miéjcie miłosierdzie nad waszemi dziećmi i wnukami, które możecie do tego doprowadzić, że nie będą miały z czego chałupy wystawić. Brońcie téż wszelkiemi siłami wykręcania gniazd, niszczenia ptaszków, bo to robotnicy Boży, wyjadają gąsienice, które niszczą lasy i sady i więcéj wam przysług robią, aniżeli możecie pomyśleć. Zabraniajcie dzieciom i karzcie je surowo, aby tego nie robiły, zwiérzyny nie tępiły, drzewek nie łamały, bo kto na to pozwala, ten kraj uboży, a sam siebie okrada.

Po siódme. Żyjcie z sąsiadami dobrze a z czeladką obchodźcie się sprawiedliwie. Niech robi, bo się na to zgodziła i bierze zasługi, ale niech nie ma krzywdy w jadle i zapłacie, bo to ciężka odpowiedzialność przed Bogiem. Z sąsiadami się nie wadźcie, ale im pomagajcie jak możecie, bo oni wam téż pomódz mogą. Nie na tém sztuka, żeby sąsiadowi gorzały kupić, a potém się z nim pobić, ale żeby sobie w nieszczęściu pomagać i ratować się nawzajem. Pamiętajcie, że miłość buduje a niezgoda rujnuje!

Po ósme. Starajcie się wszelkiemi siłami o oświatę dla was i dziatek waszych, bo tylko przy oświacie możecie wydobyć się z lichego bytu a przyjść do dostatku. Za jéj pomocą człowiek nabiéra chęci do pracy, do porządku, do oszczędności; wié jak sobie radzić w gospodarstwie, a różnych pożytecznych wiadomości nabiéra. Nie żałujcie wydatku na szkołę, ani kilkunastu groszy na książkę, bo wydatek ten wróci wam się z lichwą, a jako ziemia dobrze uprawiona duże plony wydaje, tak i rozum pilnością zorany a nauką zasiany, bujnie rodzić będzie. Porządek, praca, oszczędność i poczciwość niech zamieszka na zawsze pod strzechami waszemi! Kto pracuje, ten zyskuje, kto grosza oszczędza, ten nie zna co nędza. Braciszkowie serdeczni, pracujcie i oszczędzajcie, oto was proszę w imię wszechmocnego Boga.

Po dziewiąte. Nakoniec unikajcie karczem i pijatyki jako gniazda zarazy; niech przepadnie na zawsze wasza wieczna nieprzyjaciółka gorzałka; raz wyzwólcie się z pod jéj piekielnego panowania. Ona was zwodzi, okrada, prowadzi do torby dziadowskiéj; z ludzi robi bydlęta, z poczciwych złodziei, z pracowitych próżniaków, ze zdrowych Łazarzów. Ona trzyma cały lud wiejski w ciemnocie, ogłupieniu i nędzy, to najstraszniejszy wasz wróg. Więc w imię Boskie wydajcie jéj wojnę śmiertelną, niech raz pójdzie na zatracenie ta przeklęta para. Po jar[illegible] markach téż, gdy bywacie, nie zabawiajcie si[illegible] śmierdzącém gorzałczyskiem, napojem przez dja[illegible] bła wynalezionym na zagubę ludzi. Niech żyj[illegible] trzeźwość i wstrzemięźliwość!

Bracia moi! wyryjcie sobie w sercu te rady serdeczne i nie zapominajcie ich nigdy, a gdy je zachowacie, będziecie szczęśliwymi. Niech was Bóg ma w swojéj opiece, niech wam błogosławi na dzieciach i dobytku, niech wszystko szczęście zleje na wasze głowy, oświéci rozum i ustali pomyślność waszą. Zostawcie choć mały zakątek w sercach waszych dla waszego brata i przyjaciela do śmierci!

RZĄDY OPATRZNOSCI.

Przez Józefa z Bochni.

(Ciąg dalszy).

Wieczorem to było — obok kamienicy
Na kupce kamieni chłopczyk mały drzémie,
Chłopczyk to był miły, Jasio miał na imię;
Do niego się zbliża jakiś człek z ulicy,
Budzi go, a potém litośnie się pyta:
— Gdzież twoi rodzice, gdzież są krewni twoi?...
— Jam teraz siérota!.. Ojca mi Tatarzy
Zabili a matkę w niewolę porwali;
Zamek i warownia już w gruzy rozbita,
A któż wié, mój Boże, gdzie są krewni moi?...
Żyć bez nich, ja nie wiem jak się mi wydarzy;
Bogu tylko ufam, On — On mię ocali.
— O nie płacz, mój Janku! biédne z ciebie dziecię,
Lecz ja mam dobytek cały jeszcze przecie;
Chodź w dom mój, żyj u mnie — bądź chłopcze wesoły.
Zapomnij twych ciosów — poszlę cię do szkoły,
Dam wszystko dla ciebie, dam czego potrzeba,
A reszty wyglądaj, wyczekuj tam z nieba!...
Twój ojciec był dobrym, wieś cała pamięta,
Toż przecie chłopczyno powinność jest święta,
Abyśmy o tobie jak o synu dbali —
Kiedy nam Tatarzy nie wszystko zabrali!

Rozpłakał się chłopiec, ścisnął dobrodzieja:
— O dzięki ci, dzięki! ja pójdę z ochotą,
Opiekuj się szczérze ubogą siérotą,
Ja wdzięcznym ci będę — a w Bogu nadzieja!
Jaś uczył się pilnie, słuchał przełożonych,
Pracował ochoczo do Boga się modlił,
Nigdy brzydkim czynem duszy swéj nie spodlił,
Toć też z łaską nieba z lat w szkole minionych
Chlubne dobroczyńcy złożył zaświadczenia,
Swiatową sukienkę w kapłańską zamienia;
Bóg za cnoty liczne łaski mu swéj daje—
I Jasio, siérota, kapłanem zostaje.
Naucza gorliwie świętéj pobożności,
Lecz mija nakoniec czas nie bardzo długi,
Za przykładne życie, za słuszne zasługi
Dochodzi stopniowo biskupiéj godności.
Osiada w Przemyślu i dziwną grą losów,
Gdzie w wieku młodzieńczym ciężkich doznał ciosów,
Gdzie został siérotą nagle opuszczonym —
Tu tak znakomitym został przełożonym.
Gdy po nabożeństwie wrócił raz z kościoła,
Obaczył ksiądz biskup w pałacu kobiétę
Ogromnie znędzniałą; nawpół była goła,
Włosy jéj siwizną były już pokryte;
Trzęsła się z słabości, bo prawie konała.
Gdy więc biskupa przed sobą ujrzała,
Do nóg mu się chyląc słabo zawołała:
— Miłosierdzia, panie, poratuj mię w nędzy!...
I omdlawszy padła przed nim jak nie żywa.
Dobroczynny biskup służących przyzywa,
Na łóżko ją zanieść każe i czémprędzéj
Posłał po lékarza; nie gardzi ubogą,
Odwidza ją często, o zdrowie się pyta,
Lecz do przytomności przywieść jéj nie mogą;
Aż w dniu trzecim czuła jakieś polepszenie,
Prędzéj przyjmowała podane jedzenie,
Odzyskała mowę, więcéj też mówiła,
I o spowiédź świętą obecnych prosiła.
Litościwy biskup rzekł wtedy do siebie:
— Widać, że Bóg drogi tak przeznaczył w niebie,
Aby z mego domu przywołać ją sobie.
Pójdę — i na drogę tę ją przysposobię....

(Dokończenie nastąpi).

Stanisław Jachowicz.

(Dokończenie).

Jeszcze w roku 1833, wszedł on w powtórne związki małżeńskie, a w kilka lat potém Bóg zesłał mu błogosławieństwo w dwóch synach. Jachowicz zaś z zacną żoną, zajął się gorliwie ich wychowaniem. Oprócz własnych dzieci, pomimo szczupłych dochodów, wychowywał on jeszcze w domu swoim czworo siérót pozostałych po siostrze żony, i dwoje obcych, dla których był prawdziwym ojcem. Te nowe obowiązki nie oderwały go jednak od ukochanych wychowanków ze szkółki, których liczba coraz bardziéj wzrastała. Czy to w mróz zimowy, czyli w słotę, odwidzał ich prawie codzień, w niedzielę zwłaszcza i święta uwolniony od mozolnych zatrudnień, trawił wśród nich po kilka godzin, prowadził z nimi nauczającą rozmowę, i śledził pilnie ich postępy w naukach. Znał każdego chłopczyka po imieniu, a nie zapomniał tych nawet, którzy wyszedłszy z pod opieki Towarzystwa Dobroczynności, wyrośli na uczciwych ludzi i pracowitych rzemieślników. W każdéj potrzebie przychodzili oni do domu jego, znajdowali w nim pomoc, wsparcie i radę, a wdzięczni za podjęte około nich starania, błogosławili go i kochali jak ojca.

Obok tych miłosiernych uczynków, których Jachowicz nie mógł ukryć przed okiem ludzkiém, ileż to było jeszcze takich, o których nikt nie wiedział, oprócz niego i Boga, bo ten prawdziwy chrześcijanin, pokorny i cichy, nie chlubił się nigdy z czynów swoich!... O nim to śmiało powiedzieć można, że prawica nie wiedziała, co czyni lewica, bo i jakże tu policzyć miłosierne uczynki człowieka, którego serce było żywém ogniskiem miłości, tlejącém bez ustanku. Wspiérał on zawsze nędzę ludzką, ilekroć zdarzyła się sposobność, a ta zdarzała się co dziennie, gdyż ubodzy znając serce Jachowicza, garnęli się ciągle do niego, jak gdyby był bogaczem, i miał nieprzebrane skarby do rozdawania. I nikt nigdy nie przyszedł napróżno, bo Jachowicz, lubo sam ubogi, lubo ciężko pracował na chléb dla własnej rodziny, miał zawsze rękę dla bliźniego otwartą. Jeśli mu zabrakło pieniędzy, to rozdawał książeczki swoje, które ubodzy sprzedawali. Zdarzyło się raz, że powracając do domu, spotkał wpółnagiego biédaka, a nie mogąc go czém inném opatrzyć, oddał mu własną koszulę. Drugi raz znowu, włożył na ubogiego jedyne ciepłe odzienie, jakie sam posiadał. Kiedy w ostatnich latach mało mógł pracować, a ztąd dochody jego znacznie się uszczupliły, przyjaciele upominali go, aby dla drugich nie zapominał o sobie i o własnych dzieciach. Jachowicz mało zważał na te upomnienia i oddawał resztę mówiąc: — Mnie przecież wszyscy znają, to mi nie dadzą umrzeć z głodu, a ten biédak nie ma kawałka chleba.

I do ostatniéj chwili świadczył nad siły, a choć ubogi w to, co świat nazywa dostatkiem, bogacił serce świętemi czynami, i zbiérał nieprzeliczone plony zasług, z którémi jako prawdziwy bogacz, miał kiedyś stanąć śmiało przed Panem.

Ciągła i mozolna praca stargała wkrótce zdrowie jego i sprowadziła przedwczesną starość. Miał zaledwie pięćdziesiąt kilka lat, kiedy Bóg dotknął go niemocą, i siły go pomału opuszczać zaczęły. Naprzód osłabł mu wzrok nadwerężony ciągłém czytaniem i pracą; zaniewidział na jedno oko, a na drugie widział tak mało, że była obawa, czy nie ociemnieje do reszty. Ciérpliwie, z pokorą przyjął on dopuszczenie Boże, a im bardziéj go opuszczały siły, tém bardziéj wybiegał sercem ku niebu i doskonalił duszę, rozmyślając nad życiem Zbawiciela i postępując wiernie w Jego ślady. Ciérpiał jednak nad tém, że nie mógł tak jak dawniéj pracować dla pożytku dziatwy i ludu. Pisał wprawdzie maleńkie wiérszyki i powiastki, ale na większe prace nie starczyło już siły. Często téż powtarzał z westchnieniem do rodziny i przyjaciół:

— Niczego tak mi nie żal jak tego, że już niedługo mogę być użytecznym.

Tych zwłaszcza, którzy jak on zajmowali się nauką dziatek, upominał serdecznie, aby go zastąpili, kiedy go Bóg powoła do siebie. Już ja, mówił, nie długo będę żył na ziemi, wy wszyscy, którzy wychowujecie dziateczki, pamiętajcie prowadzić je cnotliwie.

Na kilka lat przed śmiercią, Jachowicz dogasał widocznie, nachylając się coraz bardziéj do grobu. Czuł on, że dni jego już nie długo się skończą; z żalem poglądał na niedorosłych synów, widząc, że mu Bóg wychować ich nie dozwoli. Ufny jednak w miłosierdzie Boże nie lękał się o przyszłość siérot, bo je zostawiał pod okiem najlepszéj matki, i pod opieką tego Ojca niebieskiego, który jak mówi pismo święte: *przyodziewa lilije polne w cudne szaty i karmi drobne pisklęta*, *choć te ani sieją ani orzą*.

Złamany chorobą, nie mogąc prawie chodzić o własnéj mocy, przysłuchiwał się z niepojętą radością w sercu, kiedy X. Honorat, kapucyn, nauczał synów religii. — Jakież miałem zbudowanie — mówił ten czcigodny kapłan w mowie pogrzebowéj — gdy widziałem tego starca, który nie mógł już kroku postąpić, jak spieszył z dalekiego pokoju, aby słyszeć wykładany katechizm! Jakąż widziałem radość w jego oczach, gdy patrzył na uwagę dzieci swoich, gdy słyszał ich odpowiedzi. Uśmiéchał się wtedy, i łza nie jedna spadła ukradkiem z oczu jego, gdym mówił o stosunku człowieka z Bogiem, o Ojcowskiéj Jego dobroci ku nam, o cudownej Jego Opatrzności...

Lękając się, aby go śmierć nie zaskoczyła niespodziewanie, ponowił spowiedź kilkakrotnie i przyjmował święte Sakramenta. W ostatnich jeszcze chwilach życia rozmawiał z kapłanem o ukochanych wychowankach swoich, o ubogich siérotkach ze szkółki, a kiedy mówił o nich, twarz jego zmieniona cierpieniem, rozpromieniała się nagle, uśmiéch powracał na usta i ożywiał się cały, jakby gotów był do nowéj pracy dla nich.

Choć siły opuszczały go codziennie, nie upadał jednakże na duchu, serce kochało biédnych tak jak dawniéj. Ostatniém jego pragnieniem było zbiérać składkę na wystawienie domu mieszkalnego dla ubogich niewiast w podeszłym wieku, które nie mogły pracować z powodu kalé-

ctwa lub choroby. Chciał, ażeby ten przytułek nazywał się domem świętego Wincentego a Paulo.

W późnéj jesieni roku 1857 uczuł się nagle słabszym, i dnia 24 Grudnia 1857 r. w samą wigiliję Bożego Narodzenia oddał ducha spokojnie bez cierpień. Cała Warszawa zapłakała rzewnemi łzami, dowiedziawszy się, że straciła ukochanego dobroczyńcę, tkliwego ojca siérot.

Pogrzéb Jachowicza odbył się w dniu 26 grudnia. Pomimo słoty i zimna wylegli tłumne mieszkańcy Warszawy i własnemi rękoma ponieśli trumnę na miejsce wiecznego spoczynku.

Gdy zwłoki spuszczano do grobu, siérotki z Towarzystwa Dobroczynności zaśpiéwały pieśń drogiemu swojemu opiekunowi, a wszyscy obecni przywtórzyli im głośnym łkaniem. Piękny to był pogrzéb, piękny skon, równie piękny jak cały żywot zmarłego.



Piękny uczynek.

Oprócz wielkich zasług jakie położył Jachowicz, jako chrześcijanin i opiekón ubóstwa, zasłużył się także krajowi jako prawdziwie pożyteczny pisarz. Wydał on około trzydziestu książek, przeznaczonych po większéj części dla dzieci. We wszystkich tych pismach widzimy téż same uczucia, które przepełniały zacną i kochającą jego duszę. Książeczki te są dla polskich dziatek nieocenionym skarbym; z nich przez długie lata uczyć się będą miłości Boga i bliźniego i świętych zasad cnoty. Dla kraju całego dziełka te pozostaną drogą i wieczną pamiątką po nieodżałowanym Jachowiczu.

Cz. dla O.

PIĘKNY UCZYNEK.

Świszczał wiatr w lesie, mroźna była zima,
A tam na śniégu matka dziécię trzyma,
I chucha na nie, chce je ogrzać przecie,
Bo dziécię dla niéj najdroższy skarb w świecie,
Lecz saméj członki drętwieją od mrozu,
A tu ni człeka, ni sani lub wozu,
Aby się zawiéźć do swoich do wioski;
Upada biédna pod brzemieniem troski —
Bo czyż ocalić może swój skarb drogi?...
Chce ruszyć daléj, nie chcą chodzić nogi;
Wioska daleko. Wtém jedzie chłop lasem,
Popędza konia i zakrzyknie czasem...
— O ratuj, człeku! — kobiéta zawoła —
Ocal z litości mojego anioła,
On mi już kona, mnie to dręczy srodze;
Idę za chlebem, lecz ustałam w drodze....
Spojrzał chłop z żalem, łza mu w oku staje,
Zdejmuje kożuch, kobiécie oddaje,
By się okryła, wsadza ją na sanie,
Wiezie do wioski — i przez zlitowanie
Bierze do chatki, karmi i ogrzéwa.
Dziecku sił nowych widocznie przybywa,
Wreszcie uśmiéchem dobroczyńcy płaci...
O, piękny przykład dla bliźnich, dla braci —
Chłopek litośny wtedy ze swéj chatki
Nie puszcza z małém dzieckiem biédnéj matki,
Trzyma u siebie, póki mróz nie minie,
Bo mógłby szkodzić niewinnéj dziecinie....
Czyż na czyn taki serce nie zabije?
Można powiedzieć: U nas cnota żyje!...

Józef z Bochni.

Dziwne spotkanie.

(Ciąg dalszy).

Przychodzi do niego i zaraz pyta:

— A zkądżeś ty chłopcze mały? czego tak płaczesz okrutnie, cóż ci się stało takiego?

A Franuś przysuwa się mu do kolan i mówi:

— Ja, mój panie, jestem siérotą, idę do ludzi, a nie wiem kto mię przyjmie, bom jeszcze tak mały... Jeść mi się chce bardzo; od pragnienia język mię pali, a iść nie mogę ani kroku, bo nie mogę wyprostować nóg moich...

Zlitował się gajowy nad biédnym chłopczyną i powiada do niego:

— A zkądże ty teraz idziesz? Jak się nazywał twój ojciec?

— Ja nie wiem jak się to miejsce nazywa, zkąd ja jestem — odpowiedział Franuś — i nie

wiem także, jak się nazywał mój ojciec, bo on umarł już dawno temu.

— A jakże na ciebie wołają? — spytał znowu gajowy.

— Na mnie wołają: Franuś — odrzekł chłopiec. Matka żyje gdzieś u ludzi. O ojcu nic nie wiem, kiedy umarł, gdzie umarł, czém był i jak się nazywał...

— To chodź ze mną! — zawołał gajowy.

— Kiedy nie mogę się ruszyć — odparł Franuś — bo mi nogi stwardniały.

Gajowy wziął Franusia pod pachy i z wielkiém utrudzeniem przyprowadził go do swojéj chaty.

— A cóż to za chłopiec? — pytała żona gajowego.

— Jakiś biédny siérota — odpowiedział gajowy — co w lesie naszym umiérał z głodu i znużenia. Daj mu jakiéj lichéj strawy, niech się biédak posili, a potém będziemy z nim daléj mówili...

Gajowa dała zaraz Franusiowi ciepłéj polewki z mléka, kawałek chleba z masłem, a gdy zjadł z apetytem, przystępuje ku niemu znowu gajowy i mówi:

— Przyznajże się, mój chłopcze, czy ty masz ojca?

— Ja nie mam ojca — odpowiedział Franuś z płaczem — mam tylko matkę, która jest przekupką, ale ciérpi okrutną biédę, ciągle płacze, zawodzi i narzéka; ja nie mogłem tego ściérpieć i poszedłem cichaczem do ludzi, aby nie zawadzać matce i siedzieć jéj na karku.

Spodobało się takie gadanie dobremu gajowemu, toż daléj rzecze do Franusia:

— A jak się nazywa to miejsce, w którém mieszka twoja matka, bo jabym cię kazał tam odprowadzić albo odwieźć?...

— O! tego, to ja już nie wiem — powiedział Franuś — bo nigdy o tém nie słyszałem. Do matki ja już nie pójdę, bo nie chcę widzieć jéj wielkiego zmartwienia; wolę robić u ludzi, co mi każą, a za to mi dadzą jedzenie...

— Więc tybyś miał ochotę do roboty? — zagadnął gajowy z uśmiéchem.

— A Franuś zaraz na to:

— I dlaczegóż bym nie miał, kiedy zadarmo nikt mi jeść nie da?..

— A miałbyś ty ochotę u mnie zostać? — wtrącił znowu gajowy.

— Oj, zostanę, zostanę, jeżli tylko chcecie — rzekł Franuś ściskając oboje, bo jakoś czuję, że mi tu będzie dobrze.

Wtedy rzeknie gajowa do swojego męża:

— A to weźmy go do siebie, bo nam się taki chłopiec przyda do posługi, a jak się kto o niego upominać będzie, to go oddamy, a jeżeli nie, to go późniéj poszlemy do naszego krewnego księdza, który jest w Tarnowie, bo i tak chciał jakiego chłopca ze wsi do posługi, a ten będzie prawie dla niego. I tak dzieci nie mamy, to tam taki chłopiec przy nas nie zmarnieje.

Zgodził się na to poczciwy gajowy i przyjął Franusia do swojego domu. Franuś chodził z nim codzień do lasu, zbiérał drzewo, żywicę i grzyby, to téż niebawem gajowy polubił Franusia, bo się nie lenił w pracy. Franuś nie narzékał nigdy, bo nie ciérpiał głodu, nigdy nie słyszał płaczu i narzékania. Przytém myślał sobie, że matce swojéj zrobił ulgę, toć się tak gryźć nie potrzebuje. Matka tymczasem, gdy się Franuś stracił z domu, w głowę zachodziła, coby się z nim stać mogło; szukała go wszędzie, pytała się ludzi, czy go gdzie nie widzieli i różnych używała sposobów, aby się o nim dowiedzieć, lecz wszystkie szukania i dowiadywania się były po próżnicy, nikt bowiem nic o Franusiu nie wiedział. Myśli sobie tedy matka po niejakim czasie:

— Teraz jestem sama, nie mam dziecka, na co ja mam taką biédę ciérpiéć, wolę wszystko sprzedać i pójdę gdzie za babkę do którego kościoła, a z łaski miłosiernych ludzi nie zginę!...

Sprzedała wszystko i zniknęła z Wojnicza bez śladu i wieści. Ludzie z początku wypytywali się o nią, chcieli się dowiedzieć, co ze sobą zrobiła, późniéj zupełnie zapomnieli jak zwykle o wszystkiém, co się przedawni, bo tylko nowość bawi ludzi, jak dzieci nowe bawidełka.

II.

Franuś zawsze był dobry, usłużny i przywiązany do swojego dobroczyńcy, który się Walenty Bojarek nazywał, i nigdy nie zasłużył na marne słowo, to téż Walentowie prawdziwie nie żałowali, że wzięli biédnego chłopca do siebie.

Franuś myślał sobie nieraz:

— Teraz choćbym chciał powrócić do mojéj matki, nie wiém gdzie ona się obraca, a potém cóż będę u niéj robił?... Wolę u ludzi być pracowitym, to u nich nie zaginę. Będę zawsze cnotliwym, to mi Bóg pobłogosławi, bo on lubi się opiekować siérotami.

I nie omylił się dobry Franuś, Bóg o nim nie zapomniał. Ksiądz z Tarnowa pisał drugi

raz do Bojarków, aby mu przysłali jakiego chłopca ze wsi do posługi, bo koniecznie potrzebuje. Bojarkom nikt jednak nie udawał się ze wsi tak dobrym jak Franuś, toż zawołali go zaraz ku sobie i powiadają mu, że ich krewny ksiądz z Tarnowa pisze do nich, aby mu chłopca przysłali do posługi.

— Możebyś ty miał ochotę pójść do niego? — zapytał Walenty.

— Chyba, że mię sami wygonicie, inaczéj nigdy na świecie! — odpowiedział zafrasowany Franuś.

— Ależ, mój kochany, my cię od siebie wypędzić nie chcemy — powie Walenty — bo my pragniemy twojego dobra. Ksiądz jest naszym krewnym, toć myślimy, żeby ci było u niego także dobrze i mógłbyś się tam wyuczyć różnych rzeczy, któreby ci się przydały w twojém życiu.

— A kiedy taka wola wasza — odrzecze Franuś — to pójdę, kiedy chcecie krewnemu swojemu zrobić wygodę.

Walenty zaprzągł konie, wziął ze sobą rozżalonego Franusia, i ruszyli do Tarnowa, co to jest jeszcze dwie mile za Wojniczem.

— Bądźcie zdrowi, moja najdroższa dobrodziejko! — mówił Franuś do Walentowéj — ja za wasze złote serce do saméj śmierci o was nie zapomnę.

Walentowa nawet chciała wrócić męża z wozem, tak się jéj zrobiło przykro i markotno. Ale pomyślawszy sobie, że to już taki dopust Boży, dała pokój wszystkiemu. Pobłogosławiła męża i Franusia, i pojechali obaj w imię Boże.

Droga do Tarnowa przechodziła przez Bochnię i Wojnicz. We Wojniczu pytał się Franuś o swoję matkę, ale o niéj nikt w mieście nic a nic nie wiedział. Zasmucił się Franuś i już na prawdę utrzymywał, że jest rzeczywistym siérotą na tym wielkim, Bożym świecie.

Owóż tém więcéj cieszył się, że jedzie do księdza, który mu na smutek poradzi i rozweseli go w smutnych chwilach.

Przyjechawszy do Tarnowa, ksiądz się bardzo ucieszył z przybycia Walentego Bojarka, i dziękował mu bardzo, że mu przywiózł chłopca do posługi.

— No i jakże będziesz ty dobrym chłopcem? — zapytał się ksiądz Franusia — Będziesz chciał robić i słuchać jak ci każę? Franuś upadł księdzu do kolan i mówi:

— Jak słuchałem u poczciwego Walentego to i u jegomości się nie zmienię; będę tak robił, żeby się jegomość nigdy na mnie nie pogniéwał.

— No pamiętaj! — odrzeknie ksiądz — bobym cię na cztéry wiatry wyścigał, jak nie jednego mieszczucha, co im figle w głowach broiły. Ja chcę mieć rzetelnego chłopca, i dla tego nie biorę z miasta, tylko ze wsi, aby nie był zepsuty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kasy oszczędności.

(Dokończenie).

— Ale mój Wachu! — przerwał Janek — powiédzcie mi szczérze, co mam robić z oszczędzonym groszem? Bo to tak leży bez pożytku, to szkoda, a włożyć go w gospodarstwo nie potrzeba a przynajmniéj nie wszystko?...

— Na to łatwa rada — odpowiedział Wach uciesz ony — bo na to są Kasy oszczędności. Już ci, mój Janku, tyle razy mówiłem o oszczędności, że bez niéj praca nie wystarcza; bez oszczędności do niczego nie przyjdziesz, bo oszczędność ma nam to zachować, cośmy przez pracę zarobili.

Lecz jakże zachować grosz oszczędzony? Jeżeli go gdzie dobrze nie zachowamy, to pokusa przyjdzie, że znowu go na byle co stracimy, a i złodziéj może nas pozbawić całéj oszczędności, że w jednéj chwili utracimy to, cośmy długie lata oszczędzali. Dawniéj zakopywano pieniądze, ale i tak przed złodziejem nie pewne, a potém nic nam nie przynoszą. Dziś już zupełnie inaczéj.

W każdém większém mieście założona jest kasa oszczędności. Tam to idą wszyscy, czy to gospodarz, czy dzieci, czy służebni, skoro kilka złotych oszczędzą, i tam je zanoszą. Na te pieniądze tam złożone dostanie każdy książeczkę, a w niéj stoi pokwitowanie, że tyle a tyle tam złożono. Tam nie tylko ci nie zginą oszczędzone pieniądze, bo zginąć nie mogą, ale nawet grosz ładny przyniosą, i czém dłużéj leżą, tém więcéj przyniosą. Ale tę książeczkę schowaj dobrze, a numer jéj sobie spamiętaj, albo gdzieindziéj sobie jeszcze zapisz, abyś w razie zaguby mógł tam donieść, że ci książeczka z tym a tym numerem zaginęła; a wtenczas tam ogłoszą to twoje zeznanie, i wywołają twoją książeczkę, a ty albo pieniądze swoje odbierzesz, albo dostaniesz inną na nie książeczkę. Gdy znowu oszczędzisz kilka groszy, zanieś je tam znowu, i w tę samą książeczkę ci je wpiszą. I znów i te i tamte pieniądze ci rosną, bo ci przynoszą pięć od sta na rok.

Póty je tam zachowasz, póki ci ich nie będzie potrzeba. I tak każdy robić powinien. Dopiéro wtenczas, gdy parobek będzie się chciał żenić i iść na swoje, gdy czeladnik zechce zacząć na swoją rękę robić, gdy dziewczyna idzie za mąż, dopiéro wtenczas te pieniądze oszczędzone odbiéra na nowe gospodarstwo, a odbiéra jeszcze więcéj, bo te pieniądze przez ten czas urosły. Wtenczas jakby kto znalazł, a gdy niemi pracuje, to mu Pan Bóg pobłogosławi, bo to z poczciwéj

pracy oszczędzone grosze, a w potrzebie pójdziesz jak do gotowego.

Janek podziękował Wachowi za tę naukę, i zaraz sobie postanowił, że przy pierwszéj nadarzonéj sposobności będzie z téj rady korzystał.

Wach zażył tabaki i tak dodał:

— Mnie się wydaje, że to każdego pana majstra i gospodarza jest powinnością, aby czuwał nad dobrem sług i czeladzi; dlatego ma czeladce swéj każdy przekładać i namawiać, aby oszczędzali, i grosz oszczędzony składali w kasie oszczędności. U mnie i dzieci i czeladź mają swe książeczki, i każdy się cieszy, że ma grosz uciułany, i gdy odemnie odejdzie parobek albo służebna, nie z próżną ręką odejdzie, a wtenczas gdy się czeladź będzie miała lepiéj, to i gospodarz przez to samo będzie się miał lepiéj, bo go będą wszyscy kochali, i jak on dba o dobro czeladzi, tak i czeladź będzie dbała o dobro gospodarza. Wtenczas nie będzie pana ani gospodarza i sług, ale będzie to ojciec a cała czeladź, to będą jego dzieci; a do tego dążyć powinniśmy, abyśmy się wszyscy kochali nie językiem, ani słowem, ale uczynkiem, bo na tém prawdziwa miłość zawisła!

Ks. S. Tomicki.

Co słychać w świecie?

Jedna z gazet donosi ciekawą wiadomość, jak w ostatnich czasach Prusacy sami sobie zrobili wielkiego figla. W jednéj z ostatnich bitew Francuzi postawili swoje wojsko tak, że konnica i piechota zakrywały sobą armaty i kartaczownice, które stały za niemi zakryte prócz tego usypanemi z ziemi wałami. Prusacy tych armat nie dopatrzyli, a myśląc, że w téj stronie stoi tylko samo wojsko, kazali oddziałowi konnicy, w którym było więcéj jak tysiąc koni, uderzyć na tych stojących Francuzów. Popędzili więc cwałem, ale nim dobiegli, Francuzi się rozstąpili, a z pomiędzy nich jak hukną armaty, jak zaczną prażyć kartaczownice, tak że Prusacy przestraszeni taką niespodzianką, zaczęli się mięszać, konie się kręciły, ludzie chcieli je do porządku przyprowadzić, lecz jedni padają zabici, drudzy skacząc przez nich łamią karki, a tu armaty prażą a prażą bez ustanku. Prusacy musieli uciekać i wyobraźcie sobie, ledwo pięćset koni wróciło, a reszta została na placu. Dopiéro wtedy Francuzi puścili się na plac bitwy, zabrali wszystkie pobite i ranne konie i wszystko to zaciągnęli do Paryża i mają co jeść, bo to nie mała rzecz mieć więcéj jak pięćset koni. Jak będą tak sprytnie postępowali, choćby czasami, to Paryż końmi samych Prusaków będzie się żywił, nie miesiąc i nie dwa. Jak u nas dawniéj przed Tatarami, teraz przed Prusakami biédni wieśniacy francuscy chowają się po jamach i lochach i czy myślicie, że Prusak, gdy ich znajdzie, to się obchodzi z nimi po ludzku? Ot posłuchajcie, powiem wam jedno zdarzenie. Jest tam we Francyi wioska, która się nazywa Anetan. Gdy Prusacy do niéj podchodzili, to ludzie z téj wioski zabrawszy co można było, uciekli do ogromnéj pieczary, która była niedaleko a w któréj mogło się pomieścić sto ludzi ze swoim dobytkiem. Prusacy weszli do wsi, a nie zastawszy nikogo, myśleli, że ludzie uciekli gdzieś daléj i byliby ci biédni ludzie ocaleli w téj jamie, gdyby nie nieszczęśliwy wypadek. Kilku Prusaków przyjeżdżało prawie koło otworu, którym wchodziło się do téj ogromnéj jamy. W otworze tym siedziało kilku młodych chłopców ze strzelbami. Gdy obaczyli Prusaków, to aż zatrzęsły się im ręce i jeden nie wytrzymał — palnął do Prusaka, za nim drugi i trzeci i takim sposobem zrobili rozruch. Prusacy zaraz obaczyli dziurę, ale że każdy z nich bał się wleźć do téj dziury, przywołali więcéj żołnierzy, a potém złapali wieśniaka Francuza, związali mu ręce w tyle, przywiązali go do bagnetów, żeby się niemógł cofnąć, i kazali mu iść naprzód, a sami z latarniami dopiéro za nim poczęli włazić do téj jamy. Znaleźli tam więcéj jak stu ludzi i dużo jedzenia. Wszystkich, którzy mieli jaką broń, zaraz rozstrzelali a resztę puścili. Gdy z jamy téj wypędzali ludzi, pozostał w kącie ślepy staruszek a żaden z tych napastników nie pomyślał o tém, by go wyprowadzić z jamy. Siedział biédak spokojnie w kącie i modlił się po cichu, może czekał, że lada chwila podejdzie Prusak i palnie go w głowę kolbą, aby o jednego trupa było więcéj...

Opowiem wam jeszcze to, co czytałem w jednym liście pisanym z Francyi:

„W jednéj wsi blizko Orleanu mieszkały dwie panie Polki i na szczęście téj wsi jedna z tych pań umiała po niemiecku. Gdy weszli Prusacy, chcieli tę wioskę spalić, bo im się zdawało, że w niéj przechowywał się oddział wolnych strzelców. Wszyscy byli w rozpaczy i przestrachu, tylko ta jedna Polka, która umiała mówić po niemiecku, jak zaczęła prosić naczelnika tego oddziału, jak jakoś udało się jéj przecie ubłagać, że już nie kazał wsi palić. Odszedł późniéj daléj z wojskiem, a we wsi téj zostawił kilkunastu żołnierzy z oficerem i rozkazał, że jak tylko złapią w téj wsi kogoniebądź ze strzelbą, żeby go zaraz powiesili a wieś spalili.

Do jakiego stopnia okrucieństwo dochodzi, to każdy przyzna, że wieś może być zupełnie spokojna, a ktoś z drugiéj lub trzeciéj wsi może przyjść ze strzelbą i za to ma być wioska spalona. Oto macie sprawiedliwość Prusaka.

Zapyta mnie który z was: A jakżeż ten list doszedł z Francyi, kiedy żadne listy nie przychodzą z tych stron? Otóż list ten przyszedł taką drogą, że ta pani, o któréj wam mówiłem, uprosiła oficera, który pozostał w téj wsi, że jéj list w jednéj kopercie ze swoim posłał do żony gdzieś tam w Prusiech będącéj i dopiéro żona tego oficera wysłała ten list tu do Krakowa.

Z Franauzami teraz coraz lepiéj. Mieli znowu bitwy, które dla nich wypadły korzystnie. Francuzi nic nie chcą wiedzieć o pokoju, dopóki Prusacy nie ustąpią z ich ojczyzny.

Co się tyczy bombardowania Paryża to, zawsze jedno i to samo wam donosimy, że Prusacy tak jeszcze daleko stoją od Paryża, że nie mogą bombardować bo kule nie donoszą. Chcieli zburzyć przedmieście, gdzie mieszkają biédni robotnicy, a mieli w tym cel taki, że jak w mieście będzie więcéj biédnych, głodnych i bez przytułku, to miasto prędzéj się podda, jednakowoż

zaniechali tego okropnego zamiaru i już mówią teraz, że będą starać się głodem zmusić Paryż do poddania. Ej widać trochę kuso z Prusakami, kiedy tak sami nie wiedzą, co mówić i czém grozić. Raz grożą bombardowaniem, drugim razem sami już nie wiedzą co robić. Gazety ciągle donoszą, że Francuzi biją po trosze Prsaków. Daj im Boże jak najlepiéj, niech teraz biją po trosze, a późniéj niech tak biją, jak warto bić tych, co do cudzej włażą grzędy.

Piszą, że Bismark chory, ale czy to rzeczywista prawda nie wiemy.

Gazety donoszą także, że w Bawaryi uradzono, żeby na wojnę dać 40 milijonów i to ma wystarczyć do marca. Tacy to zacięci Niemcy, ale da Bóg do marca już może ich nie będzie we Francyi.

O Austryi trudno powiedzieć, co ona myśli, ale zdaje się przeczuwa, że będzie musiała wojować, bo wyznaczono komisyję, która będzie oglądała czy wszystko w wojsku jest w porządku.

Rossyja także przygotowuje się do wojny, ale kiedy to ona myśli wystąpić i przeciw komu, czy na samą tylko Turcyję czy przeciw komu innemu, to trudno odgadnąć. Piszą gazety, że w Rosyi kilka gubernij posłało pismo do cara, w którém oznajmiają, że gotowe życie i majątek dać za niego i że gotowe choćby zaraz iść na wojnę. Czy myślicie, że to prawda? Gdzietam! Trzeba wam wiedzieć jak i kto to pisze te adresy. Oto tak: Naczelnik okręgu i jego pomocnicy uradzą między sobą, że trzeba posłać taki adres, bo za to car im da jakąś nagrodę, piszą więc taki adres sami a potém dopiéro wołają lud i każą podpisywać a kto nie chce tego biją lub do więzienia wtrącają.

ROZMAITOŚCI.

Wszędzie w kraju naszym zbiérają ludzie składki na jeńców francuzkich w niewoli pruskiéj. We Lwowie postanowiono zaniechać wszelkich zbytkowych zabaw w teraźniejszym karnawale, a grosz przeznaczony na stroje i uciechy złożyć na ołtarzu ciérpiącéj ludzkości. Rada miasta Lwowa przeznaczyła dla jeńców francuzkich 1000 złr., a na wyraźne życzenie ks. arcybiskupa wzywano z ambon do składek, do których mamy obowiązek jako katolicy a my dodamy i Polacy. I zebrano kilka set reńskich, bo publiczność szczérze pragnie dopomódz bratniemu nam narodowi.

Dzwonek podaje wiadomość o pięknym czynie dyrektora kolei lwowsko-krakowskiéj. Dyrektor ten nazwiskiem Herz (Herc) znany jest ze swéj dobroczynności, albowiem licznemi datkami wspomaga on ubogich zapomaga urzędników kolei i służbę. Prócz tego od wielu lat udziela bogatych darów szkole istniejącéj na dworcu kolejowym we Lwowie. Podarunki te przeznacza nie tylko dla nauczycieli, aby z tém większą gorliwością poświęcali się swoim obowiązkom, ale także i dla uczniów i uczennic téj szkoły.

W tegoroczną wiliję Bożego Narodzenia zgromadziły się wszystkie dzieci uczęszczające do téj szkoły w południe — i tu rozdano im w obecności zaproszonych gości podarunki pana Herza, umieszczone na piękném drzewku. Wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczęta otrzymali nowe ubrania, książki i inne pożyteczne rzeczy. Nauczyciele otrzymali podarunki pieniężne. Był to widok rozrzewniający, gdy dzieci ogromnie uradowane wychodziły ze szkoły, wynosząc piękne podarunki. Przy wychodzeniu upominano dzieci, aby pilnością i nauką okazywały się godnemi tak wielkiéj szczodrobliwości łaskawego dobroczyńcy.

Koszta podarunków wynosiły 1000 złr. Mój Boże! jakże to przeciwnie w niejedném miejscu, gdzie nawet małego a krwawo zapracowanego grosza nie chcą wypłacać nauczycielom!...

* Wiecie o tém, że w kraju naszym jest 5 milionów ludności, a przecież pisma wychodzące utrzymać się nie mogą, bo obojętność wielka i brak u nas poczucia do szérzenia oświaty, która jedynie tylko może błogie przynieść owoce dla kraju. Prosząc tedy o popiéranie oświaty, polecamy usilnie pisma dla Was przeznaczone, i tak:

Dzwonek, który rok 12 trzy razy na miesiąc wychodzi we Lwowie, teraz z rycinami i dodatkiem treści politycznéj co dwa tygodnie, a kosztuje tylko 1 złr. półrocznie, 2 złr. rocznie. — Daléj

Chatę, wychodzącą rok drugi trzy razy na miesiąc we Lwowie z dodatkiem treści politycznéj raz na miesiąc i kosztuje także 1 złr. półrocznie, 2 złr. rocznie.

My zaś wydajemy Włościanina i Zagrodę, lecz wszystkie te pisma mogą się utrzymać przy dobréj woli, gdy w sercach żyje miłość dla rodzinnego kraju. Jedni mogą to lub owe trzymać pismo, drudzy jeźli ich stać na to, i dwa lub wszystkie razem.

WARUNKI PRZEDPŁATY.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca.

Włościanin kosztuje	***rocznie***	***Zl.***	***3***	***w. a.***
„	„ ***półrocznie***	„	***1***	***50 cent.***
„	„ ***kwartalnie***	„	—	***75*** „

Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na Włościanina, zarazem i przedpłatę na Zagrodę — płaci za oba pisma:

Rocznie	***Zl.***	***4***	***cent.***	***60***
Półrocznie	„	***2***	„	***30.***
Kwartalnie	„	***1***	„	***15.***

(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca).

Poprzednie ogłoszenie prenumeraty i oznaczenie czasu wydawnictwa uprasza się uważać za niebyłe, a to z powodu niemożności zadośćuczynienia wymaganiom prasowym z naszéj strony.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan. W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.